

JÓZEF LASOŃ.

CZERWONE RABATY...

(Z cyklu: LEGIONY).

III.

Ofenzywa rosyjska, załamawszy się pod Łuckiem, przeniosła się nad Styr i srożyła się na odcinku Legionów.

Sześciokrotne siły rosyjskie, wzmocnione artylerią, uderzyły na odcinki Legionu; rozpoczęła się przestraszliwa bitwa, Moskale nie szczędząc amunicji ni ludzi, usiłowali przełamać front.

Wreszcie 7. lipca na rozkaz naczelnej komendy cofnięto się z pozycji nad Styrem, odwrót zaś osłaniać miały Legiony.

Nastąpił odwrót, w którym walczono o każdą piędź ziemi; trzy doby ustawicznych zmagani się ze ścigającym nieprzyjacielem zakończyły się oparciem się na nowej linii Stochodu.

Z za lasu szły groźne okrzyki pędzących kozaków, strzały karabinowe mieszały się z szumem wichru. Zachodzące słońce krwawą purpurą pokryło niebo, jak gdyby na krańcach gdzieś olbrzymi wybuchł pożar, który z każdym podmuchem wichru coraz szersze zataczał kręgi.

Ułan ostrogami spał zdyszanego konia, kierując bieg jego przez obszerną polankę, dochodzącą do wsi, chroniąc się przed pościgiem.

Pod bolesnym uderzeniem ostrogi koń zerwał się do szybkiego biegu, przeskoczył cierniste zarośla i pogalopował przez polankę. Kopyta końskie zapadały się coraz bardziej w torfowisko, wreszcie podbiegłszy jeszcze kilka kroków natrafiły na mulasty podkład, który już przy pierwszym uderzeniu kopyt rozstał się pod nimi, a koń zapadł się w mule po przedudzia.

— Psiakrew! — zaklął ułan — no Kaśka!

Uczuł, jak ostatkiem sił koń usiłował wyrwać się z tej matni, wydostać kopyta na wierzch, ale za każdym szarpnięciem coraz głębiej szedł na dno bezdennej przepaści mułu.

Zeskoczył z konia, zapadając po kolana w muł. Koń szarpnął się, mimo olbrzymich wysiłków, nie mógł wydostać się na wierzch.

Ułan, zajęty koniem, nie zauważył, że z pod lasu wysunęło się kilku kozaków; dopiero gdy zagrziała salwa karabinowa, a kule ze świstem przeleciały ponad jego głową, zwrócił głowę w stronę lasu, dostrzegając Moskali.

— Poddajcie! — krzyknęli chórem.

W odpowiedzi zmierzyl w ich stronę z karabinu, wystrzelał pospiesznie cały ładunek i nabiwszy powtórnie karabin, przylgnął ciałem do bagniska.

Kozacy zeszli z koni i rozpoczęli pościg pieszy za ułanem. Czołgając się, jak żółw, przez bagno, pomiędzy kępami traw, wychylał ostrożnie głowę, chcąc zobaczyć nieprzyjaciół.

Szli ostrożnie śladami kopyt końskich; nagle koń zadrżał trwożliwie, bagnisko coraz bardziej wciągało go do wnętrza. Ułan, usłyszawszy rzenie konia, a nie mogąc się wstrzymać od porywu serca, wychylił głowę, szukając oczyma miejsca, w którym pozostawił konia.

Dojrzał łeb koński wyciągnięty do góry ponad bagniskiem, cały tułów pograżony był już w mule. — Kaśka! Biedna Kaśka! — szepnął ze wzruszeniem ułan — niema dla niej ratunku.

Koń rżał ustawicznie, ułan wsłuchiwał się w te przeciągłe jęki końskie, rozczulił się do łez.

Wychylając głowę ponad sitowia, aby dojrzeć znikającą głowę wiernego przyjaciela, wystawił ją na celność strzałów kozackich, którzy zasypali go kulami. Jedna z kul zraniła go w ramię. Sycząc z bólu ukrył się pomiędzy trawą, wyszukując dogodnego przejścia.

Natrafił na twardszą glebę, szybko począł się czołgać, widząc ratunek w głębokim borze, w którym można się było ukryć bezpiecznie, przedrzeć do swoich. Rana sączyła się krwią, piekła przeogromnie, tem bardziej, że przez podarty od kuli rękaw brudna ciecz doszła do rany, rozpalając ją gorączkowo.

— Ocalonym — szepnął z zadowoleniem — trzeba się tylko ukryć przed pogonią; przez noc muszę dotrzeć do pułku.

Kozacy dotarli do miejsca, gdzie koń jego zapadł się w bagno, narady szybko odbyli i powrócili do

swych koni. Widział, jak okrażać poczęli polankę, widocznym było, że chcą odciąć drogę, dostać żywego do niewoli.

Wiadomo było w szeregach Legionu, że po stronie rosyjskiej wydano rozkaz do żołnierzy, aby Legionistów żywych brać do niewoli, widocznie mieli zamiar uciekającego ułana schwytać i odstawić jako jeńca.

W kurtkę wytarł zawalany karabin, opatrzył zamek i mimo zmęczenia po tych przejściach, wygłodniały i opadły z sił, począł przemyskać się pomiędzy zarośniętym lasu.

Nagle przystanął. Zdawało mu się, że ktoś krzyknął boleśnie, wzywał pomocy. Jakiś ochrypły głos, rozpaczą tchnący rozległ się ze strony, skąd szły patrole kozackie. Był to głos jakiegoś towarzysza broni, może konającego, może zapadłego w bagnisko, wzywający pomocy.

Nie namyślał się długo. Zawrócił z wytkniętej poprzednio drogi, idąc za głosem, jękiem rozpaczliwym. Nie zrażał go tętent pędzących koni, należało za wszelką cenę uratować życie kolegi, tonącego gdzieś w bagnie, czy też konającego z upływu krwi.

Idąc za głosem natrafił na ślady wydeptane na piasku; pod jednym z drzew leżała jakaś postać żołnierska; ranny, cierpiąc ogromnie, wydawał przeciągłe jęki. Ułan, pomimo zmęczenia, szybko podbiegł do rannego, a podnosząc mu głowę do góry, usiłował wlać w gardło kilka kropli rumu, który miał w manierce, przewieszzonej przez ramię.

Obywatelu — szepnął ranny — pościg, uciekajmy...

— Gdzieście ranni?

— W brzuch!

— Ciężka rana?

— Boli... boli...

— Cicho! Tu podchodzą patrole rosyjskie... kozacy... Trzeba nam się ukryć przed nimi, inaczej zginiemy.

— Boli...

— Opatrzę wam ranę! — zwrócił się ułan do żołnierza — tylko chwilę cierpliwości.

Wyciągnął z kieszeni bandaż, przygotował, poczem zranione miejsce, silnie krwawiące, obtarł strzępem urwanej koszuli, zakładając opatrunek.

— Możecie iść? — spytał po opatrzeniu rany.

— Spróbuję, może podołam.

Podźwignięty ramieniem kolegi, powstał. Rana dokuczała, targała nerwami. Ale opanował ból, zacisnął zęby, próbując postąpić parę kroków.

— Powoli dojdę! — zwrócił się do ułana — Tylko podajcie mi karabin i plecak.

— Na cóż wam dzwigać?

— Karabinem będę się podpierać, a kto wie, czy się nam nie przyda w drodze. Zawsze dwa karabiny mieć, to więcej jak jeden!

— Juści prawda! Ale plecak zbyt ciężki! Ostałoby ratować życie — niż plecak!

— Mam tam drogie pamiątki! — cichym głosem odpowiedział — Relikwie święte, które do grobu trzeba zabrać; całej wojny pamiątki, żal mi porzucać!

— Może się uda coś wyrzucić z niego.

— Zobaczcie!

Ułan rozwiązał sznurek plecaka, zanurzył rękę w środek, gorączkowo przerzucając zawartość. — Były tam obok przeróżnych żołnierskich drobnostek, tomik poezji Słowackiego, podręcznik taktyki, odłamki metalowe pocisków armatnich.

— Po cóż to żelazko, to trzeba wyrzucić! — wskazując na pozbierane odłamki, zaproponował ułan.

— Nie, nie! To pamiątka!

— Jaka?

— Kolegę, serdecznego druha zabił! Jeszcze na nim ślady krwi, ślady mąk druha!

— To książki?

— Nie! To osłoda wojennego życia! Cobym bez nich robił?

Pokręcił ułan głową, wreszcie z irytacją związał plecak, narzucił go na plecy, przemawiając do żołnierza:

— Poniose, póki będę mógł; ale jeśli coś w drodze wypadło, rzucę!

— Wówczas ja poniose!

Nieprzerwanym echem szła palba karabinów, jęczał las od huku armat, bitwa pod wieczór wzmagala się. Legiony, cofając się z pozycji, krok po kroku następującego wroga powstrzymywały, przeczając jego szeregi. Runęła lawa żołnierstwa rosyjskiego na opuszczone okopy, puściły się w pościg oddziały kozackie, ciągnąc za sobą lekką artylerię; piechota z karabinami maszynowymi następowała, pod wieczór drogi osaczone były przez nieprzyja-

ciela. Cofać się trzeba było przez bagna, przedzierać przez gąszcz i lasy i otaczającego wroga.

— Znaćcie drogę? — zapytał ranny.

— Dążymy na Maniewicz! Droga już zajęta przez kozaków, jesteśmy w pośrodku wroga. Musimy w ciągu nocy dojść bokiem do Maniewicz i tam przyłączyć się do pierwszego lepszego oddziału.

— Ktoś przez las pędzi! — zauważył ranny — a ja nie mam sił iść dalej.

— Zostańcie tutaj w gąszczu! — odparł ułan — Ja zaś przybliżę się do drogi i zobaczę kto jedzie. Może to nasza patrol ułańska.

Usadowił rannego pod drzewem, zakrytem gąszczami jałowca, podkładając mu plecak, aby uchronić od wilgoci bagnistego podkładu lasu.

— Siedźcie cicho, gdybyście słyszeli strzały, to znak, że napadnięty przez Moskale i starajcie się sam dotrzeć do Maniewicz.

— A wy?

— Będę się starał przedewszystkiem uniknąć zetknięcia z patrołą, jeśli to rosyjska. Ale mogą mnie spostrzedz, dla tego w razie strzałów zmykać!

— Dobrze! Nabijcie mi jeszcze karabin, no i nacięćcie bagnet na broń! Ze mną to samo może być! Trzeba życie drogo sprzedać!

Tętent koni coraz wyraźniej dawał się słyszeć. Po głosie nawoływań, przekleństw dzikich, poznali nieprzyjaciół. Ułan przypadł ku ziemi, podczołgał się cokolwiek w stronę drogi.

Nagle padł strzał.

Dojrzał, jak kozacy zeskoczyli z koni i przypadli ku ziemi, kierując ogień karabinów na przykurzoną pod drzewem postać rannego Legionisty. — Strzał był przypadkowy, drżącą ręką rannego wywołany. Przygotował karabin na przypadek napadnięcia przez kozaków, gorączką zdenerwowane palce pociągnęły za cyngiel, zwracając uwagę nadjeżdżających kozaków.

— Poddajcie! — krzyknęli groźnie, dojrawszy skrytego za drzewem żołnierza.

— Nigdy! Polski żołnierz nigdy się nie poddaje!

W odpowiedzi zagrziała salwa kilku karabinów, ranny bezustannie oddawał strzały. Ułan obserwował przez chwilę zaciętą walkę, namyślając się nad sposobem ratowania kolegi. Dostrzegł, jak kozacy, rozsuwając się w tyralierce, coraz większym kołem zbliżać się do niego poczęli.

Uchwycił silnie karabin, zmierzyl z niego do pierwszego z brzegu kozaka. Strzał był celny, kozak, krzyknawszy przeraźliwie, rozciągnął się krzyżem na ziemi.

— Pierwszy pluton w tyralierze! — syknął wściekle ułan — Drugi pluton bagnet na broń!

Ładunek pięciu naboí równocześnie wystrzelał wraz z słowami komendy. Wywarło to nadzwyczajny skutek. Patrol rosyjski, przekonana o przewadze przeciwnika, wycofała się w popłochu, pozostawiając rannego kozaka.

— Ułan! — huknął żołnierz — gdzie jesteście?

— Tu — odparł — musimy szybko uciekać! Będziemy mieli zaraz z całą sotnią do czynienia. Zle się stało, żeście strzelili!

— Karabin mi wypalił! Ręka zadrżała na cynglu!

— Słyszycie! Kozacy!

— Nie ujdziemy im! — szeptem odparł ułan — Godzina nasza wybiła. Będziemy się bić!

Zmarszczył czoło pośpiesnie, energicznie nabijając karabin. Piechur przypadł ku ziemi, zaciskając zęby z bólu, przygotował naboje z plecaka, roztworzył torby nabojoye.

— Powstrzymamy ich ogniem, póki naboí starczy! A potem dziej się wola nieba.

— Dużo macie naboí? — spytał ułan.

— Siedmdziesiąt!

— Ja przeszło sto! Na sotnię wystarczy!

— Nie damy rady!

— To się wie! Ale się nie poddamy!

— Nie! — odparł ranny — Żywych nas nie wezmą!

Słyszeli coraz bliżej idące okrzyki, kozacy dotarli do miejsca, gdzie pozostał ranny kozak. Sześciu z nich zsiadło z koni szukając śladów, którymi zdążyli przeciwnicy.

— Widzisz tę grupę stojących kozaków przy rannym koledze? — spytał ułan.

— Widzę! — szepnął cicho — Promienie księżyca oświeciły ich; dobry cell!

— W tę grupę strzelać! — rozkazując odparł ułan.

Zagrziała salwa dwu karabinów, pół sotni kozackiej rozbiegło się po lesie, odpowiadając strza-